



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



WYTRWAŁOŚCIĄ A PRACĄ. *)

OPOWIADANIE PRAWDZIWE.

Do czego dojść można, choćby w najtrudniejszych warunkach, przy wrodzonych zdolnościach i wytrwałej pracy, przykład mamy na młodej bo zaledwie szesnastoletniej Amerykance, niewidomej i głuchoniemej. Obdarzona niezwykłą bystrością umysłu i niepospolitą siłą wyobraźni, Helena Keller zdolowała przewyższyć wykształceniem wiele rówieśniczek, używających w pełni zmysłów, słuchu i wzroku.

Przyszedszy na świat wśród dość zamożnej rodziny w Tuscumbia (Alabama) przez pierwsze osiemnaście miesięcy życia była zupełnie zdrową i później dopiero w skutek ciężkiej choroby postradała słuch i wzrok jednocześnie. Biedne dziecko obdarzone wyjątkową łagodnością charakteru, nie

zdawało się odczuwać boleśnie swego kalectwa; obecności rodziców i domowników domyślała się rozwiniętym wczesnie bardzo zmysłem dotykania i czucia, nagradzającym niejako inne zmysły. W pierwszych latach dzieciństwa zdradzała pewną bojaźliwość, nie lubiła pozostawać samą w pokoju, najchętniej też siedziała na kolanach matki, rozróżniając każdy jej ruch przy pracy i poruszenie ust w mowie. Gdy jej przybyła mała siostrzyczka, przywiązała się do niej namiętnie, lubo zrazu zazdrośną była o pieszczoty i starania macierzyńskie jakie dzielić z nią musiała. Cierpliwą i słodkiego usposobienia Helenkę drażniła tylko niemożność porozumienia się z drugimi i wypowiedzania myśli, których dużo roilo się po małej główce. Między szóstym siódmym rokiem życia, rodzice pragnąc ją kształcić, udali się z nią do doktora Anagnos, dyrektora instytutu ociemniałych w Bostonie, ten polecił im na nauczycielkę miss Sullivan, która przez sześć miesięcy przysto-

*) Autorka tego artykułu, miss Magdalena Ashurst Biggs Angielka, która nam obiecała i dalsze swe współpracownictwo, wyuczyła się naszego języka i znana jest jako zdolna tłumaczka na język angielski „Pana Tadeusza” i innych utworów naszych poetów.

wywała się do swego trudnego zadania. Naukę od tego zaczęła, że wychowawce podarowała piękną, dużą lalkę, wyraz „lalka” jednocześnie z paluszków dziewczynki alfabetem głuchoniemych składając. Pojętno dziecko zaczęło te same ruchy palcami naśladować i nauczyło się machinalnie znaków słów kilku, zanim domyśliła się łączności istniejącej między owymi znakami a przedmiotami zewnętrznego świata. Potrzebę tłumaczenia myśli mową pojęła dopiero po dwutygodniowym pobycie z nauczycielką, która dnia jednego pracując całe rano daremnie nad tem, aby Helenka dać poznać różnicę między kubkiem a mlekiem wpadła na myśl, iżby dziewczynkę zaprowadzono na podwórze, gdzie jej rączkę z kubkiem podstawiła pod pompę i podczas gdy pompowano wodę w kubek, miss Sullivan palcami drugiej rączki dziecka wypisywała znaczkami słowo „woda”. Helenka zrozumiała wówczas odrazu związek zachodzący między temi znakami a przedmiotami zewnętrznego świata, pojęła znaczenie mowy i pozyskała sposób udzielania myśli swoich drugim. — Odtąd nie byłam już nigdy niecierpliwą — wyznaje z rozrzewniającą szczerością i od tej chwili rzeczywiście dziewczynka nadzwyczajne postępy czynić zaczęła w rozwoju umysłowym. W ciągu kilku miesięcy przyswoiła sobie znajomość 400 do 500 wyrazów, to jest liczbę wystarczającą, jak utrzymują, dzieciom niepozbowionym żadnego zmysłu do wypowiedzenia wszystkich potrzeb i wiadomości swoich. W krótkim czasie nabyła wprawy w czytaniu i pisaniu, pierwsze na wypukłych literach, używanych przy nauce ociemniałych, a drugie na żłobkowatych tablicach, iżby pismo w jednej linii utrzymać się mogło. Czytała chętnie każdą książkę, jaką jej dostarczano, a po dziesięciu miesiącach nauki była w stanie pisać listy, których nie powstydzilyby się uczennice ze słuchem, wzrokiem i kilka lat od niej starsze. Niewiadomo, co w tych postępach więcej podziwiać: czy wrodzone zdolności czy wyjątkową wytrwałość w pracy. Z drugimi porozumiewała się zwykle za pomocą alfabetu głuchoniemych, którego wyuczyła ją miss Sullivan; mając lat ośm nauczyła się w ciągu kilku minut od jednego z profesorów, nowo wynalezioną przez niego metody. Spotkawszy się z nim po latach kilku, umiała tę metodę zastosować, lubo nie używała jej wcale przez owe lata. Na dowód jej pojętności przytoczyć wypada, że gdy raz przełożona instytutu ociemniałych przedstawiała uczennicom przedmiot nowego wynalazku, którego użytku żadna domyśleć się nie mogła, Helenka dotknąwszy się go oświadczyła zaraz, iż to jest tłoczek (prasa) do cytryn, a gdy jej podano szklanekę i cytrynę umiała wykazać zastosowanie maszynki. Gdy ją pytano jakim sposobem tego doszła, uderzyła ręką po czole i wypisała znakami: — Zastanawiam się! Gdy była trochę starszą i została oddaną do instytutu głuchoniemych i ociemniałych, gdzie jej ukochana nauczycielka towarzyszyła, postępy dziewczynki zdumiewały wszystkich. Mając lat dziewięć, zapragnęła uczyć się po francusku, a język ten rozumie się, mógł być jej wykładany tylko za pomocą ręcznego alfabetu i wypukłych liter. Po trzech miesiącach jednogodzinnej dziennie nauki, mogła już napisać bez niczyjej pomocy list po francusku bez omyłek.

Charakter Helenki na większe jeszcze zasługuje uznaniem niżeli wyjątkowe jej zdolności umysłowe; usposobienie jej zawsze pogodwe, wesołe, tak, że miss Sullivan wyraża się o niej: — Nie widziałam nigdy szczęśliwszego dziecka i Bogu dziękuję, że obok niej znajdować się mogę. — Od najmłodszych lat nie pojmując znaczenia samolubstwa, więcej

myślała o drugich, niżeli o sobie. Raz podczas obchodu gwiazdki wigilijnej zauważyła, że jedna z obecnych dziewczynek nie otrzymała żadnego podarku i bez wahania podzieliła z nią swoje upominki. Drugim razem, kiedy miała nowy kaftanik, bo Helenka podobnie jak inne młode dziewczęta, mimo kalectwa swego ubierać się lubi, matka zapytała, czyby nie oddała ubrania swego biednej dziewczynce, w odpowiedzi zdjęła bez namysłu ulubione ubranie i podarowała je potrzebującej. Tkliwość jej serca w inny jeszcze objawia się sposobem: Helenka mając wielkie upodobanie w zwierzętach, przywiązała się bardzo do ogromnego brytana, który z wielkim żalem swej pani, gdy raz wybiegł z domu, jako błąkający się pies został zabity. Dowiedziawszy się o jej zmartwieniu przyjaciele Helenki chcieli zebrać składkę na kupno nowego psa dla niej. W owym czasie dziewczynkę doszła wieść o ubogim chłopcu, dotkniętym takim samym jak ona kalectwem, a nie mającym środków pobierania nauki. Helenka rozumując ile sama zawdzięczała umiejętnemu kierunkowi kształcących ją nauczycieli, pragnęła iżby drudzy z tych dobrodziejstw korzystali, prosiła zatem usilnie, aby pieniądze przeznaczone na jej przyjemność przeznaczono na kosztą umieszczenia Tomcia w instytucie głuchoniemych w Bostonie. Zarządzono w tym celu składkę publiczną; Helenka pisała odezwy do serc litościwych, a jedna z tych odezwo zwrócona do dzieci rozrzewnia prostotą swoją. Pomyślny rezultat osiągnięty został; zebrano fundusz potrzebny i oddano małego Tomcia do zakładu, gdzie początkowo Helenka i jej nauczycielka zajęły się nauką chłopca, który chociaż nie dorównywa inteligencją swojej młodej opiekunce, zdobędzie sobie niewątpliwie możność zarabiania na życie.

O wysokiem uzdolnieniu umysłowem Helenki świadczy wynaleziona przez nią metoda porozumienia się z drugimi. Jest w stanie wypowiadać w rozmowie na znaki około 80 słów na minutę. Posiadając w dodatku znajomość języków obcych, zapragnęła wyrobić sobie organ mowy. Wiadomo, że niemi, którzy tylko w skutek głuchoty pozbawieni są daru słowa mogą się owej mowy nauczyć obserwując i naśladowując poruszenie ust i gardła swoich nauczycieli. Dla Heleny dotkniętej utratą wzroku nauka taka wydawała się niemożliwą, ją nie jednak nie zrażało. Jedną z opiekunek instytutu ociemniałych w Bostonie podjęła się być jej przewodniczką dozwalając młodej dziewczynce podczas rozmowy dotykać ust i gardła i tłumacząc zasady wymawiania. Po dwóch miesiącach Helenka zaczęła już wymawiać wyrazy dość dźwięcznie, wedle zeznania osób ciekawych sprawdzić wieści o jej cudownem uzdolnieniu, obecnie może już płynnie prowadzić rozmowę o różnych przedmiotach dla wymiany myśli, zmuszoną tylko będąc dotykać ust i gardła tych, z którymi ma rozmowę prowadzić. Po dziewięciu miesiącach pracy złożyła nawet publicznie dowody czynionych postępów, deklamując poemat dr. Holmes. Główną dla niej pobudką nauczania się mowy ludzkiej było przywiązanie do siostrzyczki sześć lat od niej młodszej.

Do muzyki również przykładą się Helenka z wielkiem zamiłowaniem; znajduje niewysłowioną przyjemność w wi-bracji tonów, czuciem dla niej dostępnej. Dzieckiem będąc najmilszą dla niej rozrywką było siedzieć przy fortepianie, gdy kto grał i rozróżniać wibracje poważnego lub żywego rytmu muzyki. Słuchając, tak jak mówiła, próbowała wydawać dźwięki poruszając usta, co za śpiew poczytywała,

a najgorętszem jej pragnieniem jest zostać znakomitą fortepianistką lub śpiewaczką. Ponieważ, pozwolono jej brać lekcye muzyki i umiała już grać kilka kawalków dość dokładnie, brała także lekcye śpiewu powtarzając z żalem: — Och jakbym chciała śpiewać naprawdę! Czy nie należy przypuszczać, że ten pociąg do muzyki, którą sobie instyktownie wyobrażać może, świadczy o rzeczywistych artystycznych zdolnościach, nie rozwiniętych jedynie wskutek nieszczęśliwego kalectwa. Probowala sił swoich w zakresie piśmiennictwa, kilka jej szkiców powieściowych wyszło w dziennikach: *St. Nicolas*, *Youth's Companion* (Towarzysz młodości) i w innych pismach peryodycznych amerykańskich. Osobliwość tych utworów stanowi to, że autorka opisuje w nich tak barwnie przedmioty zewnętrznego świata, jak osoba dokładnie z nimi poznamiona. Jedyną słabą stroną, zdradzającą niedostatek pojęć w skutek smutnego kalectwa są jej poezye, które pisuje z wielkiem upodobaniem, a które są jedynie harmonijną, płynną prozą, bez zachowania właściwej miary wiersza; dowodzi to, że dla osób pozbawionych słuchu, niemożliwym jest pochwycenie rytmu w poezyi.

Miedzy innemi jednak darami umysłowemi, uposażona jest Helenka wielką zdolnością do arytmetyki; będąc jeszcze małym dzieckiem rozwiązywała zadania arytmetyczne prędzej, zanim nauczycielka zdążyła je napisać. Brak słuchu i wzroku nie ujmując bynajmniej inteligencji, nie wpływa też ujemnie na stan jej zdrowia; jest silną, zahartowaną, konno jeździ doskonale i lubi rozrywki no świeżem powietrzu. Zmysł dotykania, który jak to bywa zwykle u niewidomych, jest u niej wyjątkowo rozwinięty, pozwala jej rozróżniać nie tylko kształt ale nawet kolor kwiatów, odmiany róż i t. p., tak, iż można o niej powiedzieć, że lepiej wodzi palcami, niżeli niejeden oczyma. Nie zapomina nigdy raz zrobionej znajomości i nie bierze jednej osoby za drugą. Świetniejszych jeszcze rezultatów wyrobienia duchowego spodziewać się można w dojrzałym wieku dziewczyny, która pozbawiona najpotrzebniejszych dla człowieka zdanem naszym zwysłów, nabytymi wytrwałością a pracą wiadomościami zdołała prześcignąć wiele współrównie swoich.

M. Ashurst Biggs.

NIEZNAJOMA Z PODDASZA

powieść przez

Brzoniśławę Sozawską.

(Dalszy ciąg).

Ubrano chorą w świeżą bieliznę, położono do wygodnego łóżka, a pan Brzeski sam udał się po doktora.

Nim doktor przyszedł, chora zasnęła snem mocnym, na twarz jej wystąpiły rumieńce, a siność zginęła zupełnie.

Doktor znalazł wielkie wycieńczenie sił i trochę gorączki, żadna choroba nie była zdeklarowana.

Powiedział, że przyjdzie wieczorem wiedzieć się, czy stan ten nie ulegnie jakiej zmianie.

Nieznajoma spała kilka godzin bez przerwy, pani Brzeska, siedząc na krzeselku, przyglądała jej się z natężoną uwagą.

W rysach nieznajomej było coś jej znanego, czego powiązać nie mogła, a jednak, miała to przekonanie, że ją musiała gdzieś widzieć.

Wądzia co chwila wchodziła na palcach aby się dowiedzieć czy chora nie przebudziła się jeszcze, biedne jej serduszko nie mogło się zupełnie uspokoić, przypisywała sobie bowiem winę, że tała przed matką to, co powinna była wczoraj jeszcze powiedzieć.

Pani Brzeska widząc trwogę dziecka, nie mogła jej łącać, uspokajała nawet zmartwioną do głębi duszy dziewczynkę.

— Mateczko, ale ona nie umrze — szeptała Wądzia, aby nie zbudzić chorej — to byłoby straszne, umrzeć z głodu i nędzy.

Pani Brzeska westchnęła, myśląc, ile to ludzi umiera z nędzy i głodu, nie chciała jednak powiększać przykrych myśli córki.

— Zostań tu Wądzio — rzekła po chwili — chora przebudzić się może lada chwila, lepiej, że ciebie tylko zobaczy przy swem łóżku.

— Dobrze mamo, jeżeli pozwolisz zawołam Biedusia, to jej najpierwszy przyjaciel, on się ucieszy gdy ujrzy, że jej teraz wygodnie i ciepło.

Pani Brzeska uśmiechnęła się z naiwności dziewczęcia, zezwoliła jednak, a Wądzia przywoławszy pieska, została z nim przy chorej.

Biedus wspiął się na łóżko łapami, zauważył jednak widocznie, że pomoc jego jest już zbyt czułą, położył się więc przy łóżku, a machnąwszy parę razy ogonem na znak zadowolenia, zasnął spokojnie.

Wądzia niecierpliwie oczekiwała przebudzenia chorej, pragnęła usłyszeć z ust jej, że czuje się lepiej, byłaby niezmiernie uszczęśliwiona.

Kto to może jednak być ta nieznajoma? pytania te nasuwały się Wądzio co chwila.

Gdy opowiedziała matce całą rozmowę z nieznajomą, pani Brzeska, która słuchała opowiadania z zajęciem, rzekła do męża:

— Zdaje mi się, że jakaś smutna tajemnica kryje się w życiu tej biednej kobiety, która prawdopodobnie przez dzienne zrzędzenie losu doszła do stanu takiej nędzy i opuszczenia.

— Czy aby nie z własnej winy znalazła się w położeniu tak smutnem — rzekł pan Brzeski.

— Mój drogi — rzekła pani Brzeska z żywością — nie sądzmy przed czasem, ja widzę dziś w niej tylko istotę bardzo nieszczęśliwą i potrzebującą pomocy i współczucia.

— Nie odwodzę cię też od tego kochanie, owszem, czyń wszystko co uważasz za dobre, a gdybyś potrzebowała i mojej pomocy, znajdziesz mnie zawsze chętnym, do spełnienia tego czego zażadasz.

— Alboż cię nie znam — rzekła pani Brzeska, spoglądając na męża z wdzięcznością.

Wądzia siedząc cichutko przy łóżku nieznajomej, oczekiwała się nareszcie, że ta poruszyła się i z uczuciem błogości, malującym się na jej twarzy, zaczęła prostować swe członki.

Wygodne łóżko, pokój ciepły, były to rzeczy nieznane dla niej od dawnego czasu, nie miała też odwagi otworzyć oczu i otrzeźwić się ze snu zupełnie, aby nie wrócić do strasznej rzeczywistości, którą pamiętała tak dobrze, i nie stracić tego co posiadała tak niespodzianie, a co zdawało jej się być snem, gorączkowym marzeniem, ale nigdy prawdą. Nie otwierała też oczu, aby nie pierzchnęło to złudzenie i nie ujrzała się w swej zimnej komórcie na poddaszu, na twardym sienniku, bez przykrycia ciepłego i tak samej, tak bardzo samej.

Powoli jednak wracała jej zupełna przytomność i świadomość położenia. Pamiętała już teraz wszystko i gorzkie uczucie wstydu, upokorzenia, że nędza jej wyszła na jaw, ta-

kim bólem zalało jej serce, że kurczowo zacisnęła dłonie, ściągając chmurnie brew czarną.

Ale w myśli jej stanęła ta jasnowłosa dziewczeczka ze łzami w oczach, całująca jej rękę, rękę takiej nędzarki, leżącej na barłogu.

Potem, ta kobieta, którą widziała chwilę tylko przez uchylone nieco powieki, gdyż czuła się bezwładną, bo prawie umierającą, ta kobieta pochyłona nad nią, miała wyraz takiej

— Jakże się pani czuje? czy lepiej?

— Lepiej — szepnęła, walcząc jeszcze w duszy z jakąś odrobiną dawnej nieufności i niechęci.

— My tu jesteśmy z Biedusiem — rzekła Wańdzia, nie mogąc na razie znaleźć lepszego przedmiotu do rozmowy — on się tak ucieszył jak panią tu zobaczył.

Bieduś słysząc, że mówią o nim, machnął ogonem i położył na łóżku swe kudłate łapki.



Król wyspy Timor.

dobroci i słodyczy, takiego współczucia i miłości, że gorycz nikła z serca biednej istoty, a wstępowało w nie uczucie, dawno u niej minione.

— Są ludzie — myślała — są, tacy dobrzy, tacy szlachetni, wielu w swej miłości bliźniego.

Otworzyła powoli oczy i ujrzała przy łóżku tę jasnowłosą dziewczeczkę, która ją pogodziła już prawie z ludźmi, uśmiechnęła się do niej, lekko, nieznacznie prawie, ale zawsze uśmiechnęła. Wańdzia przysunęła się do niej i zapytała z dziecięcą szczerością i serdecznością:

Chora przyglądała się dziewczynce, a potem wzrok przeniósł na pieszka.

— Pocziwy — wyrzekła.

— O! że pocziwy to pocziwy — podjęła Wańdzia z żywością — a przytem jaki on rozumny. Ale, niedobrze robię, mateczka kazała sobie dać znać jak się pani przebudzi, odeszła stąd niedawno, tak się niepokoiła, choć doktor mówił, że niema niebezpieczeństwa.

— Więc był doktor? — zapytała chora — nie pamiętam wcale.

— Pani była taka osłabiona — rzekła Wańdzia — ale po mateczkę, a i doktor przyjdzie jeszcze zaraz, miał zbyć wieczorem, a to już zmierzch zapada, ale gadulską mnie.

Wańdzia z lekkim sercem poszła do matki, zdawało jej się bowiem, że nieznajoma wygląda jakoś nieźle.

Po chwili weszła pani Brzeska z filiżanką bulionu z uśmiechem życzliwym, zbliżyła się do chorej.

— O, już widzę, że pani lepiej po przespaniu — mówiła zaraz od progu — sen pokrzepił, tego widać tylko było potrzebę.

Chora chciała mówić jakieś słowa tłumaczenia, ale pani Brzeska rzekła stanowczo:

chętniej, co miłość nakazuje. Urwała jednak, nie wypowiadając dalszego objaśnienia, natomiast rzekła:

— Przestańmy, proszę, będzie czas na tę rozmowę później. A, oto i doktor, proszę poprzeć moje słowa, że trzeba się zachowywać spokojnie i być grzeczną — dodała żartobliwie.

Doktor zbadał chorą i powiedział, że prócz ogromnego wycieńczenia sił, choroby żadnej niema, że jednak trzeba umiejętnie i ostrożnie postępować z chorą, która przy silnym swym organizmie, może wrócić do zupełnego zdrowia.

Wańdzia klasnęła w ręce.

— Dzięki Bogu! — zawołała z radością.

W oczach nieznajomej błysnęły łzy rozrzewnienia,



B a w o ł y.

— Proszę niczego nie mówić, co rozdrażnić może, zostawmy tę sprawę na potem, teraz musimy tylko myśleć, aby jak najprędzej odzyskać zdrowie.

Ale chora spojrzała jej w oczy uważniej i rzekła ponuro:

— Kto wy jesteście, że wam chodzi o zdrowie takiej nędzarki nieznanej? co was obchodzi los kobiety obcej? czy wy wiecie czy jestem wartą waszej litości, o którą nawet nie prosiłam?

— Najpierw — rzekła pani Brzeska ze słodyczą, nie urażając się słowami ostreimi nieco — widzimy w pani kobietę bardzo widać nieszczęśliwą, ciężko doświadczoną przez cierpienie, więc miłość bliźniego nie pozwoliła nam odsunąć się od pani, choć się nie znamy, a powtóre...

Tu spojrzała na córkę, chciała dodać, ta mała roztoczyła nad tobą swą opiekę, więc i dla niej czynimy to tem

a z niemi zdaje się spłynęła ostatnia gorycz i zwątpienie nurtujące w jej sercu.

— O! ty mój jasnowłosy aniołku — szepnęła i zo spokojem przyjęła filiżankę z rąk pani Brzeskiej.

Doktor przepisał jakieś krople na uspokojenie wzburzonych nerwów, powiedział jak należy postępować z osobą tak bardzo osłabioną i poszedł do swoich chorych, zapewniając, że tu potrzebny już nie będzie, chyba, gdyby zaszło coś nadzwyczajnego.

Honorarium przyjąć nie chciał, mówiąc do pani Brzeskiej żartobliwie, że jest bardzo chciwą i zazdrosną osobą, skoro nie chce pozwolić aby i on miał jakąś maleńką, nie znaczącą cząstkę, przy spełnieniu tego aktu miłości.

Pani Brzeska uściśnęła dłoń jego.

— Oj, podobno takiś grzechów zazdrości i chciwości

więcej jest na pana sumieniu aniżeli na mojem — rzekła z uśmiechem — nie godzi się prześladować niewinnych, będąc samemu pod zarzutem.

Istotnie, choroba nie wywiązała się większa, mimo tak strasznych warunków, w jakich nieznajoma żyła.

Z dniem każdym teraz stawała się silniejszą, już myślała o wstaniu, ale dreszcz trwogi ją ogarniał, głuchiej rozpacz niemał, co pocznie nadal, a nieraz żałowała prawie, że ją wyrwano śmierci.

A jednak życie teraz miało dla niej powab, przywiązała się sercem całem do tej nowej jakby rodziny własnej, a co Wańdzię, to ukochała sercem całem.

Nadchodziła już wiosna, dnie były jasne i pogodne, a dnia jednego gdy nieznajoma rano otworzyła oczy, ujrzała przy swem łóżku to wszystko, co jej tylko do ubrania potrzebnem być mogło.

Zrobiło to na niej takie wrażenie, że się rozplakała i złożyła ręce, wyciągnęła ku górze.

— Panie i Bże mój! — zawołała drżącym głosem — za co łask i dobrodziejstw tyle!

Biedna, wśród ciężkich dni biedy i opuszczenia sądziła, że i Bóg ją opuścił, zwątpienie wdarło się do zbolełej duszy, teraz więc z żalem głębokim i skruczą, dziękczynne dłonie wzniosła do nieba.

Z żywością poczęła się ubierać, ręce jej drżały, nie czuła już upokorzenia i wstydu przyjmując dary od tych ludzi, podczas kilku tygodni spędzonych pod ich opieką, poznała ile to nieprzebranych skarbów, mieścić się może w sercach napełnionych miłością Boga i bliźniego.

Państwo Brzescy domyślali się, że kobieta którą znaleźli w tak strasznej nędzy, popadła w nią jakimś wypadkiem nieprzewidzianym i niespodziewanym wcale.

Wkrótce spostrzegli, że to osoba wykształcona, starannie wychowana, tylko, mająca w swem obejściu nieco wyniosłości, nad którą teraz panować usiłowała.

Jako jednak ludzie zacni i szlachetni, nie pytali jej nigdy o nic, a nawet nie pozwolili mówić jej o swem położeniu, prosząc, aby poczekała z tem do zupełnego przyjścia do sił i zdrowia.

Ubrała się szybko, spojrziała w lustro i zlekła się ujrzawszy jakąś obcą osobę.

Byłaż to ona? Obejrzała się za siebie, nikogo nie było, tak więc, to ona.

Padła przy łóżku na kolana, ukryła twarz w dłoniach i drżała od łez tłumionych.

(d. c. n.)

Król wyspy Timor.

Dla wielu czytelników naszych, którzy poznawszy z geografii całą grupę Małych wysp Sundzkich, dowiedzieli się zarazem jak rozległa na nich rozciągają władzę różne europejskie narody, dziwnem wyda się zapewne, że na wyspie Timor jednej z archipelagu tych wysp, znajduje się jeszcze władca z tytułem królewskim.

Nasza rycina przedstawia tego monarchę w całej malowniczości niezwyklego stroju z przybraniem głowy, zbliżonem raczej do turbanu aniżeli do korony.

Ogorzała twarz jego o wielce nieforemnych rysach, dowodzi pochodzenia malajskiego. Jest on królem, a właściwie naczelnikiem dziś już nieznacznej liczby plemion, które dotąd zachowały swe ziemie, w niezależności od europejskiego zwierzchnictwa.

WIERSZ WINCENTEGO POLA

ofiarowany

Stanisławowi Jachowiczowi.

Cześć ci, śpiewaku dobrego posiewu!
Cześć polskich dziełek wierny opiekunie!
Lutnia twa cięta jest z Bożego krzewu,
Stróże Anioły grają po twej strunie!

I gdy bładzili wszyscy, tyś nie błdził,
Lecz pracowicie, i cicho, i skromnie
Daleś to dziatwie, co ci Bóg przysądził,
Mówiąc: „Małuczkich puście, bracia, do mnie.

I wielkim wzorem Zbawiciela Pana
Garnąłeś dziatwę, jak kokosz, pod siebie;
Bo była miłość ci tak wielka dana,
Ze jej jest cena znana tylko w niebie.

Nam tej miłości ni spłacić, ni sławić;
Ale gdy Bóg cię w pośród nas postawił,
Nam Świętej Woli tylko błogosławić,
Jakoś ty dziatwie naszej błogosławił!...

Boś Ty obmyślał *dobrze* gniazdo nasze,
Nietylko *dobrze*, i owszem, najlepiej!
I, jako dziatwa chwyta mleczną kaszę,
Tak słowo twoje na żywot ją krzepi.

Jak deszcz majowy, oddech Bożej rosy,
Jak woń siolka, i wiosną, i rano,
Jako skowronek bije się w niebiosy:
Z takiej to przędzy daleś dziatwie wiano!

To też twe pieśni dokoła nas krążą,
Jak te gołębie koło gołębnika,
Których skrzydełka raz ku niebu dążą,
To znów do swego wracają kącika.

To też twe pieśni brzęczą nam, jak pszczołka,
Jako głos dzwonka z wiejskiego kościolka,
Miłe dla serca, jako turkot młynka,
Ciepłe, jak światło cichego kominka.

I jak *pobożne* w niebiosą się wspina,
I co *prostoty* w ładzie polskiej chatki,
I co *czułości* w tem spojrzeniu matki,
Co się nad śpiącą dzieciną nagina:

Wszystkoś to zebrał i świeże, i wonne,
I co po Bogu i domu zakonne,
Po sercu proste, po miłości tkliwe,
Wszystko, co święte, i czyste, i żywe!

BAWÓŁ.

Wśród zwierząt dwukopytnych, racicowych, znajduje się potężny bawół, który nie żyje już dziko w Europie, a w Ameryce bliski jest wytepienia. W Stanach Zjednoczonych reszcie bawołów, znajdujących się tam dawniej w licznych stadach, dano obecnie schronienie w tak nazwanym Parku Narodowym, gdzie pomimo to ścigane są przez licznych kłusowników, którym te łowy odpłacają się sówicie, albowiem skóry ich są używane do różnych rymarskich wyrobów; skórę lub łeb z rogami, płacą po dwieście dolarów. Przed dwoma laty było jeszcze w Parku Narodowym, około 200 bawołów, dziś jest ich tylko 50. Istnieje projekt przeniesienia tej resztki ginącego gatunku zwierząt, na miejsce, gdzie miałyby istotnie

stateczną ochronę i mogły się znów rozmnażać śród naturalnych warunków życia. W tym celu za najodpowiedniejszy nano, park Zoologiczny w Waszyngtonie.

Bawół przypomina swą budowę domowe nasze bydło, oć o wiele rośniejszy; pokryty jest na grzbiecie rzadkim krótkim włosiem, barwy czarnej lub sinej, a ogromny łeb go zdobią długie w górę wzniesione zakrzywione rogi, przedawiające najlepszy materiał na wyrób grzebieni.

Ludność Indyi, Persyi i Egiptu zdołała dzikie bawoły sioić i hoduje je, jako nieocenione zwierzęta juczne i pociągowe, które niewybredne w paszy, zadawałniając się w porzebie zeschniętą trawą lub słomą. wielkie w tych gorących krajach oddają usługi; choć mięso ich, trące piżmem, nie jest maczne, przez mniej zamożnych bywa jednak jadane, natomiast mleko jest zdrowem i posilnem pożywieniem.

Dziko żyjące bawoły trzymają się najchętniej okolic nisko położonych i błotnistych, jezior, moczar i kałuż; szczególny bowiem pociąg mają do wody i całymi dniami w niej przesiadują, łby tylko na jej powierzchnię wystawiając, jak to przedstawia rycina nasza, a ponieważ pływają doskonale, zdarza się nieraz, że na ich grzbietach podróżni przebywają bezpiecznie większe nawet wód obszary.

Z pomiędzy kilku odmian siłą i wzrostem odznaczają się bawoły wyspy Cejlon, które tam prawdopodobnie w przedhistorycznych czasach z Indyi, swej pierwotnej ojczyzny, się dostały.

Lew świętego Marka

(z angielskiego E. A. Henty)

przekład K. P.

(Ciąg dalszy).

— Franciszku; daj nam pół godziny odpoczynku — rzekł Matteo, zanim się weźmiemy do czegoś nowego.

— I owszem, odpoczniemy przez godzinę, jeżeli chcecie; wkrótce dostaniemy śniadanie, a potem znowu rozpoczniemy robotę!

— Śniadanie! — westchnął jeden z młodych ludzi — czyż można nazwać śniadaniem czarny chleb i wodę! Kiedy sobie pomyślę o obiadach, jakie miewałem w domu i o potrawach, których nie chciałem jeść gdyż nie były doskonale ugotowane, to mnie rozpacz porывa i zły jestem na siebie, że mam się wybrać na ochotnika.

— Radzę wam jeszcze tę godzinę rozacierać sobie ręce i ramiona — rzekł Franciszek — jest to najlepszy sposób na zmęczenie i zdrętwienie mięśni. Nieraz mi Giuseppe to robił, kiedyś zanadto długo wioślował lub bił się na szpady.

Radę jego przyjęto i podczas gdy wszyscy odpoczywali, Franciszek wziął hak i zbliżył się do ściany.

Próbował wszystkie deski od podłogi do pułapu.

— Cóż znalazłeś kapitanie — zawołał do niego Matteo.

— Znalazłem, że przybito deski gwoździami z tamtej strony.

— Czyż to nie wszystko jedno, czy są przybite z tej czy z tamtej strony.

— Naturalnie, że nie. Gdyby je przybito z tej strony, to musielibyśmy hakami wydłubać dziury i przepiłować deski z jednej do drugiej, a tak, jak jest teraz, to wystarczy nam założyć żelaza między deski a belki i posługiwać się niemi jak dźwignią. Gwoździe musiałyby być niezwykle mocne, gdyby się nam nie udało ich oderwać.

Młodzi ludzie zerwali się na nogi, zapominając o zmęczeniu i sześciu pochwyciło za żelaza.

— Powoli — rzekł Franciszek. Nie zapominajcie, że z tamtej strony mogą być ludzie. Zanim podważymy deskę, musimy wywiercić otwór, przez który zajrzemy do środka. Ale wpięć zaczekajmy na śniadanie.

XVI.

„Pluton” wraca do swych dawnych właścicieli.

Jak tylko się oddalił człowiek, który im spuścił kosz napełniony chlebem, dwóch ochotników porwało za hak i wywierciło nim otwór, podczas gdy reszta się posilała. Żelazo wchodziło z początku z łatwością, potem jednak, czy to napotkało twardy sęk, czy przytępione ostrze haka wywierało mniejsze tarcie, dość, że upłynęło cztery godziny, zanim jeden z pracujących przyłożywszy oko do otworu ujrzał promyk światła. Jeszcze kwadras wiercenia, a otwór był tak duży że pozwolił rozejrzeć się po środkowej części okrętu. Z góry przez otwartą kłapę wpadało światło i widać było dwóch ludzi, którzy otwierali wielką pakę.

— Musimy zaczekać, aż się zupełnie ściemni — rzekł Franciszek. Nie zrobimy wielkiego hałasu, ale lepiej będzie jeżeli się zatrzymamy do chwili, gdy cała załoga udaje się na spoczynek. Wtedy jest najwięcej gwaru i nikt nie zwróci uwagi na szmer pod pokładem.

Najtrudniej będzie wsunąć końce haków pomiędzy deski a belkę — rzekł Matteo.

— Jakoś sobie poradzimy — odparł Franciszek. Belki nie są zbyt gładko ociosane i jeżeli poszukamy, to znajdziemy szparę.

Obejrzeni uważnie ściany i znaleźli istotnie czego szukali. Obok wybranej deski kazał Franciszek położyć hak, aby ją odnaleść w ciemności, potem wszyscy ułożyli się do snu. Słońce miało się już ku zachodowi i rzucało czerwone blaski, kiedy zbudził się kapitan i kazał gotować się do roboty. Spojrzawszy przez otwór Franciszek przekonał się, że środkowa część okrętu była pusta i że nawet zamknięto kłapę. Nie było więc obawy, aby wieczorem zeszedł kto na dół.

— Zaczynamy — rzekł Franciszek — Paolo Parnechi weźmie jedno żelazo, Matteo drugie, a ja trzecie. Założymy je pod deskę i pchniemy z całej siły.

— Czyście gotowi? — zapytał po chwili — a więc dalej.

Napnęli się, pchnęli i deska oddaliła się trochę od belki.

— Zaczekajcie aż ja wsunę głębiej mój drag, potem wy to samo uczynicie.

Jeszcze jeden wysiłek potem drugi i gwoździe zupełnie wyszły.

Z górnymi łatwiej poszło.

— Dosyć! — zawołał Franciszek, kiedy je wysunęto na cał, bo deska upadnie z hałasem. Załóżcie żelaza u dołu i podnoście je stopniowo do góry, a kiedy szpara będzie dosyć szeroka, schwycimy deskę rękami i przytrzymamy gdy będzie padała.

Jeszcze chwila, jeszcze jeden wysiłek i deskę złożono ostrożnie na ziemi.

Radość tych co stali trochę dalej i wiedzieli o pomyślnym skutku tylko ze słów Franciszka nie dała się wyrazić.

— Czy można przejść?

— Nie — rzekł Franciszek trzeba będzie wyjąć jeszcze jedną, ale może który ze szczuplejszych potrafi się przecisnąć i przytrzyma ją z tamtej strony, to nie obawiając się, że upadnie i narobi hałasu, będziemy mogli śmieiej pracować.

Po kilku minutach złożono drugą deskę obok pierwszej.

— Co teraz zrobimy? — zapytał Matteo.

— Musimy dać znać o sobie naszym majtkom. Podzielimy się na trzy części, ja wezmę czterech ludzi i pójdę do środkowej części okrętu, jak się zmęczymy to Paolo Parnechi z czterema innymi nas zastąpi, a ty, Matteo, z resztą ludzi złuzujesz go. Jeżeliby kto zeszedł z środka statku,

to my się ukryjemy pomiędzy workami, których całe stopy leżą u przeciwległej ścianie.

To mówiąc przeszedł z towarzyszami przez otwór w ścianie i umocował deski tak, ażeby go nie dostrzeżono, następnie zbliżył się do stosu broni, który z radością zobaczył przez wywierconą dziurkę i wyszukał mocny sztylet. Postępowali bardzo ostrożnie, z obawy ażeby który nie upadł i hałasem tym nie sprowadził Genueńczyków. Pod całą ścianą leżały wory ze zbożem, tak wysoko, że u góry ledwie się można było przecisnąć.

— Na miłość Boską nie uderzcie o pulap—rzekł Franciszek— bo toby nas mogło zgubić. Nie ruszajcie się wcale, a ja znajdę miejsce i zacznę wiercić otwór.

Wybrał połączenie dwóch desek, które niezupełnie przystawały do siebie i ścinał ich brzegi. Po dziesięciu minutach dotknął ramienia jednego z towarzyszy, naprowadził jego rękę na zaczęty otwór a sam usunął się na stronę. W godzinę wywiercili dziurę mającą około cala średnicy. Franciszek przyłożył ucho i nasłuchiwał, ale zupełna cisza panowała po tamtej stronie ściany. Przytknął usta do otworu i zapytał:

— Czy śpicie?

Znowu przyłożył ucho i słyszał jak jeden marynarz zapytywał drugiego, kto mówił i wymyślali gniewnie temu co im sen przerwał. Franciszek poczekał aż się uspokoiło i znów rzekł.

— Nie spierajcie się. Gdzie jest sternik Rinaldo?

— Tu jestem. Ale kto mnie woła. Czy to nie głos pa-
na Franciszka Hammonda?

Tak, to mój głos. Udało się nam przebić ścianę od naszego więzienia, teraz wy powinniście to samo uczynić. Podamy wam parę mieczów, jak tylko dostatecznie rozszerzymy ten otwór. Wybierzcie deskę w kącie, ponieważ braku jej, trudniej dozorcę dostrzegą.

— Dozorcy nigdy do nas nie schodzą, żywność nam nawet spuszczaają w koszach.

— To nic nie znaczy, a nuż ktoś nadejdzie zanim skończycie robotę. Musicie wyjąć dwie deski, bo inaczej nie przedostaniecie się do nas. Najlepiej i najłatwiej będzie — rzekł zwracając się do Rinalda — jeżeli u dołu w desce wywiercisz szereg otworów, a przerwy pomiędzy niemi przetnisz za pomocą miecza. To samo należy uczynić u góry. Z naszej strony pod ścianą leżą wory ze zbożem; nie obawiajcie się więc, że wam deska upadnie, ani że was ztąd dostrzegą, tylko cała robota powinna być dokonana prędko i bez hałasu, niech więc co parę minut jeden drugiego ziniem. Jutro rano zapewne skończycie. Ale nie wychodźcie ze swojej izby i nie przedsiębiorcie nic, aż sam wydam rozkazy. Teraz nie możemy napaść na załogę, chociaż broni mamy pod dostatkiem, gdyż być może, iż inne okręty płyną nieopodal i za łada sygnałem przyjdą w pomoc. Ale nadejdzie chwila po temu, pokonamy naszych wrogów i odprowadzimy Plutona do Wenecji.

Marynarze z trudnością powstrzymali okrzyk radości, a Franciszek przyłożywszy ucho do otworu słyszał jak jeden mówił do drugiego:

— A czyżem ci nie powiedział, że signor Hammond da

sobie zawsze radę i że teraz nas wydobędzie z rąk Genueńczyków.

— Mówiłeś Pietro, takiego kapitana zawszeliśmy mieć nad sobą. To nie jeden z tych młodych szlachciców którzy nie potrafia rozpoznac sznurów i boją się zawałać o dziegieć. Jak on o nas dbał przez całą zimę. No, Rinaldo bierzmy się do roboty, kto nie chce siedzieć w więzieniu genueńskiem, niech przyłoży rękę.

Franciszek przekonany, że marynarze usłuchają jego rozkazów, zeszedł z worów i wybrawszy ze stosów broni dwa oszczepy wązkie i długie podał je przez dziurę.

— Jużesmy swoje zrobili — rzekł do towarzyszy. Pa-
i jego ludzie z łatwością rezerzną otwór i podadzą im miecze.

Wrócili na przód okrętu i tam Franciszek wytłumaczył Parnechiemu co mają uczynić i jakie rozkazy ma on wydać marynarzom.

Zaprowadzę was sam na miejsce, a wracając wybiorę jeszcze z pół tuzina sztyletów, które się nam na później przydadzą.

Kiedy pierwsze promienie słońca wpadły przez szparę, Matteo obudził się i widząc, że wszyscy jego towarzysze spokojnie, nie mogli wyjść ze zdziwienia. Obudził Franciszka i zawołał:

— Czy się stało co złego? Dlaczegoście mnie nie obudzili?

— Nic się złego nie stało i daliśmy ci spać dlatego, że nie miałyś co robić. Jużesmy podali naszym marynarzom noże i miecze i oni przecinają teraz dwie deski w ścianie do środkowej części okrętu. Połączymy się niebawem, uzbierzmy i, jak nadejdzie stosowna chwila, napadniemy na Genueńczyków.

— Jak długo marynarze muszą pilnować te deski?

— Dziś z pewnością skończą a może już nawet skończyli.

— To my niebawem będziemy wolni — zawołał Matteo radośnie.

— To zależy od wielu okoliczności. Musimy czekać aż się nadarzy sposobność opanowania statku bez hałasu, bo inaczej towarzyszące mu okręty usłyszą odgłosy bitwy i przyjdą mu z pomocą. A teraz nie przeszkadzaj bo mi się okrutnie spać chce, a tu w naszej dziurze lepiej jest spać niż nudzić się i ziewać.

— Wiesz co Matteo — dodał po chwili — zatkać otwór wykręcony w ścianie, bo ze środka mogą zobaczyć światło i dojść po nitce do kłębka.

Tego dnia więźniowie byli o wiele niespokojniejsi niż zwykle. Z początku, kiedy się dostali do niewoli, przygłębienie ich było tak wielkie, że nie mieli ochoty nawet do rozmowy. Pogrom floty, niebezpieczeństwo na jakie była narażona Wenecja i obawa lochów genueńskich, wszystko to się złożyło, aby ich uczynić niezmiennie nieszcześliwymi. Na drugi dzień udało im się wydobyć haki stalowe i mieli już słabą nadzieję ocalenia. Większość wszakże oddalała tę myśl z obawy iż nastąpi rozczarowanie, ale teraz, kiedy byli panami położenia, kiedy uwolnienie było kwestyą czasu, kiedy mogli ocalić nie tylko siebie, ale i odebrać okręt nieprzyjaciółom, trudno im było pozostawać w bezczynności.

(d. c. n.).

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Wytrwałością i pracą, opowiadanie prawdziwe. — Nieznajoma z poddasza, powieść przez Bronisławę Porawską. — Król wysp Timor (z drzew.) — Wiersz Wincentego Pola, ofiarowany Stanisławowi Jachowiczowi. — Bawół (z drzew.) — Lew świętego Marka (przekład K. P. z angielskiego G. A. Henty). — Dodatek: Zgodne rodzeństwo p. K. Ślósarską (z drzew.) — Dwa bąki p. A. R. Pastuszek, wiersz p. Zofię Mrozowicką. — Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Orla skała, powieść miss K. Yonge przekład T. O.

WIECZORY RODZINNE



ZGODNE RODZENSTWO.

Władzio, siedząc na ławce, odczytywał z zajęciem powiastki z książeczki, którą niedawno dostał od mamy. Zajmowały go one tak dalece, że nie zwracał uwagi na różnobarwne motyle, przelatujące z kwiatka na kwiatek, ani na ptaszki, śpiewające wśród gałęzi. Długo-by pewnie jeszcze czytał, gdyby nie miała jego siostrzyczka Stefcia, która, znudzwszy się samotną zabawą, przybiegła do niego.

— Władziu, chodź, pobaw się ze mną, już tak dawno siedzisz nad tą książką!

— Dobrze, Stefciu, tylko skończę powiastkę — odrzekł braciszek — usiądź przy mnie i poczekaj chwileczkę.

Stefcia z trudem weszła na ławkę, za nią leciuchno wskoczył kotek ulubiony i usadowił się poważnie na jej ramieniu.

Przez czas jakiś trwała cisza, ale Stefa nie należała do najcierpliwszych, to też wkrótce przysunęła się bliźniutko do Władzia i prosić go zaczęła o pokazanie obrazków.

Władzio, widząc, że nie będzie mógł już skończyć czytania, wziął siostrzyczkę na kolana i razem przeglądali książeczkę. Były tam obrazki przeróżne: to chłopczyk płaczący nad książką, tam dziewczynka bawią-

ca się na łące, a jeszcze dalej gniazdko z ptaszkami. Stefci aż oczy się śmiały do ślicznych obrazków, a i kotek widocznie podziwiał je także, bo siedział spokojnie spoglądając w książkę.

Raptem miauknął radośnie, a Stefcia zawołała: „on chyba poznał, że to także kotek”. Rzeczywiście rysunek, który oglądali, przedstawiał śliczniutkiego kotka, pijącego mleko.

— Ech! chyba nie — odrzekł Władzio — choć koty, to takie zmyślne zwierzątka. Właśnie tu opisują, że jeden z nich, nie mogąc dostać się do mieszkania, czepiał się drutu od dzwonka przy drzwiach, i uwiesiwszy się na nim, dzwonił tak silnie i gwałtownie, że wszyscy domowi zbiegli aby się czempredziej otworzyć niecierpliwemu gościowi. Lecz jakież było ich zdziwienie, gdy, zamiast pana lub pani, oczom ich ukazywał się kot, poważnie wchodzący do pokoju.

— Jakie to zabawne, Władziu, ale i mój kotek bardzo jest mądry; dziś rano drapał łapką do kredensu, żeby mu dać mleczka, ja o nim też napiszę powiastkę.

— Dobrze siostrzyczko, lecz najpierw naucz się pisać i czytać.

— O! ja się prędko nauczę, zobaczysz, bo ja chcę także dowiadywać się z książek o różnych ciekawych rzeczach, tak jak ty.

— Tymczasem, chodźmy po nasze koneweczki, podlejemy ogródki, żeby nam kwiatki nie zwiędły — rzekł Władzio, zsadzając z kolan siostrzyczkę, i wzięwszy ją za rączkę, pobiegł ku domowi, a za nim w podskokach i susach podążył ukochany kotek Stefci.

K. Ślósarska.

DWA BĄKI.

Piotruś, syn zegarmistrza, równie był chętny do pracy jak i do zabawy. Umiał się doskonale bawić. Miał dwa bąki. Jeden duży, puszczone kręcił się w koło, hucząc głośno. Potem puszczał drugi, ten był mniejszy, ale gdy go popędzał biczykiem, mały bączek kręcił się naokoło pierwszego w taki sposób, że opisywał koło.

Młodszy braciszek Piotrusia przyglądał się tej zabawie i aż klaskał w rączki z radości.

— Widzisz — rzekł mu Piotruś — większy bąk jest jakby słońce, mały, kręcąc się około niego, może wyobrażać ziemię. Gdyby duży bąk świecił jak słońce, mały miałby z kolei jedną stronę ciemną, drugą oświeconą, tak właśnie dzieje się z naszą ziemią, i to jest powodem, że mamy kolejno po sobie następujące dni i noce. Słońce i ziemia są podobne do dwu olbrzymich bąków, które kręcą się w przestrzeni bez przerwy.

Mały chłopczyk słuchając Piotrusia, wytrzeszczał modre oczki na wirujące baki, które zdawały się rosnać pod jego bystrym wzrokiem, a Piotruś był bardzo zadowolony, że bawiąc się z braciszkiem, może go czegoś pożytecznego nauczyć.

Starajcie się zawsze nauczyć innych tego, co sami umiecie.

A. R.

PASTUSZEK.

Czarna krówka na wygonie,
A graniasta w lesie —
Na fujarce gra pastuszek
Wiatr piosenkę niesie.
 Polne bratki, jaskry złote,
 I czerwone maki
 Ubarwiły całą niwę
 W czarodziejskie szlaki,
Coś rzewliwie gra pachole,
W oku łza migoce,
Nagle przerwał odgłos dzwonu
Piosenki sieroce.
 I opuścił chłopiec rękę
 W pół urwanej nucie,
 I pochylił się w murawę
 Nad blade stokrocie;
I łza długo wstrzymywana
Stoczyła się zwolna,
Jedną więcej rosy kroplą
Błyszczący trawa polna.
 Dzisiaj święto, w domu Bożym
 Ciągłe huczą dzwony,
 Na procesję roje ludu
 Spieszą z różnej strony.
Lecz sierocie się nie cieszyć,
Z szczęśliwymi razem,
Innym tylko by przeszkadzał
Swym smutku wyrazem.
 Chleb mu dali dobrzy ludzie
 To i dosyć przecie!
 Skąd im wiedzieć czego łaknie
 To sieroce dziecię.
Skąd odgadnąć jak to boli,
Kiedy swoi w niebie,
Nie mieć w świecie jednej duszy
By kochała ciebie!
 W Boże święto smutniej jeszcze,
 Gdy się wszyscy cieszą,
 Czuć, że nikt cię nie przygarnie,
 Między gwarną rzeszą.
I sierota twarz schyloną
Ukrył w mokrą rosę —
Czarna krówka się zbliżyła
Lizać nogi bose.
 A wtem widać tłum od wioski
 Na gościńcu w dali,
 Idą, płyną z chorągwiami
 Na kształt barwnej fali...

Coraz bliżej, coraz bliżej —

Ku krzyżowi dążą:

Mnogie głosy w jedno pienię

W jeden hymn się wiążą.

 I baldachim ponad Hostyą,

 Przenajświętszą niosą —

 Dym kadzideł pnąc się w górę

 Spada łaski rosą.

Przed kapłanem sypie kwiaty,

Dwoje drobnych dzieci,

Niewinności, białą szatą

Pośród tłumu świeci.

 „Idzie, idzie Światłość Wieczna”!

 Brzmia w powietrzu słowa,

 Chłopiec ukląkł na murawie,

 Twarz we dłonie chowa...

Dziw mu! w sercu mu jaśniej

Jak w Bożym kościele,

Jakieś ciche, jakieś rzewne,

Bierze go wesele,

 W niebie, w ziemi, niby głosy

 Jakiejś rajskiej lutni

 Grają w koło: Jestem, idę,

 Do tych którzy smutni!

Przeszli — cichnie pieśń w oddali,

Tylko ślad za niemi

Znaczy ścieżka usypiana

Kwiatami wonnemi...

 Spojrzał chłopiec, a wzrok łzawy

 Po tej ścieżce goni,

 Lecz się nie czuł już samotny

 Na szerokiej błoni:

Uciszony, ukojony —

Jak w objęciu matki,

Znalazł Tego, który garnie

Opuszczone dziatki.

Zofia Mrozowicka.

Mali Robinsonowie w skalach nadmorskich.

przełożyła M. B.

(Dalszy ciąg).

— Musimy jutro wstać bardzo wcześnie; jak tylko zjemy kolację, pójdziemy się zaraz położyć.

— Co też będziemy jedli na tę naszą ostatnią kolację?

— Krewetki, kraba i rybki smażone w maśle. Ro myślam tylko czy nie możnaby zabrać z sobą trochę kr wetek różowych, moglibyśmy sprzedać je w drodze.

— Ciężko się będzie z niemi nosić i może nikt kup nie zechce — odrzekł Iwonek.

— Oddamy je w takim razie za kawałek chleba. Muszę je ugotować, bo na swój użytek mamy ich wiele.

— A w co je zabierzesz?

— Jeszcze nie wiem... Ale może ty masz rację mój maleńki, nie warto się obciążać na drogę.

Przed samą czwartą, gdy nawet nie świtało jeszcze, Melcia zapaliła świecę, była to już ostatnia z przyniesionej paczki. Rozpaliła ogień i przygrzała resztę wczorajszej wieczerzy na śniadanie, a później obudziła Iwonka.

— Otwórz oczka, mój braciszku, za godzinę musimy już być w drodze.

Iwonek zaczął się przeciągać, nie mogąc się rozbudzić odrazu, ale Melcia nie pozwalała mu zasypiać na nowo. Gdy już była umyta i ubrana, schowała starannie pieniądze, wzięła nóż, włożyła wiele się dało sucharów do swej kieszeni i do obydwóch kieszeni Iwonka, a widząc, że ten ostatni nie może się zdecydować na opuszczenie łóżka, śmiejąc się wodą zimną w twarz mu bryznęła. Spósób okazał się bardzo skuteczny, bo Iwonek w jednej chwili z łóżka wyskoczył.

— Umyj-że się porządnie — rzekła Melcia — trzeba żebyśmy czysto i schludnie wyglądali, bo inaczej niktby nas na nocleg nie przyjął.

Gdy Iwonek był gotów, zasiedli do śniadania, mewa jak zwykle posilała się razem z nimi. Gdy skończyli, Melcia wzięła ją do ręki.

— Żegnaj nam ptaszyno, przyjaciółko w naszej samotności, niech Bóg czuwa nad tobą. Pomodlimy się na swoją i twoją intencję.

To mówiąc uklękła obok braciszka, odmówili razem pacierze ranne, a później modlili się o podróż szczęśliwą, o odnalezienie ciotki Genowefy, prosili Boga by błogosławić i opiekować się nimi raczył. Gdy skończyli, ucałowali raz jeszcze mewę i Melcia posadziła ją ostrożnie, w jej zwykłym kąciuku. Ptaszyna wtuliła łebek pomiędzy skrzydełka i zasnęła spokojnie.

— Chodź, braciszku... już czas iść w drogę, nie będziemy czekali, aż się dzień zrobi. Bierz łopatę, będzie nam potrzebną do piasku. Byle otwór nie był zbyt mocno zatkany — szepnęła Melcia... — To wyjście takie jest straszne, zdaje się, że się człowiek dusi.

— Co ty mówisz? — zapytał Iwonek.

Mówiła cicho by nie przstraszać brata.

— E, nic... chodźmy...

Malec przekonał się raz jeszcze, czy biały kamyczek znajduje się w kieszeni. Zawiązał go w róg chustki od nosa, wraz ze znalezionym pieniądzem czy też medalem złotym, który mu Melcia zabrać pozwoliła. Ona także zajrzała do kieszeni, cztery franki i inne drobniaczki znajdowały się na miejscu.

— Chodźmy... chodźmy...

Wzięła braciszka za rękę i z zapaloną świecą zeszli na dół, po tych schodach, które przebiegali tyle razy śmiejąc się i bawiąc. Skierowali się do otworu, poza którym czekał ich świat nieznany, a taki duży... Nie trafili na żadną przeszkodę, morze było niskie...

— Czy nic nie zapomniałeś, Iwonku?

— Nie, ale zimno porządne, gdybyśmy tak zabrali kołdrę, co myślisz Melciu?

— Zanadto by nam ciążyła, i utrudniała szybkość chodu. Gdy słońce wejdzie, zaraz nas ogrzeje. No, a teraz uważnie... ja przejdę pierwsza... Jak gwizdnę to idź

za mną... a teraz pomóż mi Iwonku oczyścić trochę wyjście, ja będę kopała, a ty piasek odrzucaj na bok.

Gdy otwór był już widny, Melcia wsadziła łopatę, położyła się na ziemi, wsunęła najprzód głowę, później ramiona, aż wreszcie cała zniknęła. Czołgając się, łopatę posuwała przed sobą, a gdy poczuła zapórę odgadła, że już dotarła do piasku i rzeczywiście powietrze, było rzadsze, oddychanie coraz trudniejsze. Zaczęła kręcić łopatą w jedną i drugą stronę, by poruszyć piasek, zdecydowała wsunąć weń głowę. Tak jak i zeszłym razem w uszach jej szumiało, wzmagala się duszność, nadmierne wysiłki, ciężkie poruszanie łopatą, tak wyczerpały odważną dziewczynkę, iż strach ją począł ogarniać, czy zdoła się wydostać. Gdyby tu pozostała, wszelki ratunek stracony, Iwonek pozostanie sam jeden! I cóż on pocznie, zapasy skończone, drzewa już niema, a nanoszą go dopiero huragany zimowe, biedny, mały Iwonek umrze z głodu i z zimna, bo i odzienie zniszczy mu się prędko!... Na myśl tę, która lotem błyskawicy przebiegła jej przez głowę, Melcia poczuła w sobie nowe siły i energię. Gorączkowo poruszała łopatą i tak samo, jak za pierwszym wyjściem, powiew świeżego powietrza twarz jej owionął. Była ocaloną.

Reszta była już łatwą; przez szeroki otwór, który Melcia za sobą pozostawiła, powietrze dostało się do korytarza; na umówiony znak Iwonek poszedł śladami Melci, przeprawa odbyła się szczęśliwie, po kilku okrzykach, zachęcony głosem siostry, znalazł się przy niej niebawem. Ucałowali się serdecznie, jakby po długim rozłączeniu. Jeszcze było za ciemno do drogi, ale najcięższa przeprawa była skończoną. Gdy się tylko troszkę rozwiłni puszczą się dalej „z Bogiem”, jak mawiał ich ojciec na łódź siadając.

Przedtem jeszcze Melcia przybliżyła się do morza, oddawna widziała je tylko z daleka, a teraz pożegnać chciała. Może nigdy nie zobaczy tej wielkiej wód przestrzeni! Przyglądała się czarnym falom, a gdy spostrzegła, że biała piana, która ich otaczała staje się wyraźniejszą, odwróciła się i ujrzała kawałek nieba przybierającego barwę szarą... Wtedy przyklękła, ręką nabrała wody i umoczyła w niej usta... na pożegnanie...

— Iwonku chodźmy, już czas w drogę, rzekła ocierając oczy i bojąc się by Iwonek nie spostrzegł, że płacze.

Szli otoczeni ciemnością, a dwa ich cienie odbijały się na parkanach, stojących wzdłuż drogi. W miarę jak szli dalej, niebo zmieniało barwy, z ciemno szarego stawało się jasno szare z domieszką złotego.

— Jakże to ładne — rzekł Iwonek, zwracając się do siostry — ale wolałbym teraz spać sobie smacznie w naszej grocie pod ciepłą kołdrą, a do tego jeszcze zaczynam być bardzo głodny... Dwa suchary nie na długo wystarczą... zjem jeden... może i dwa. Tak odwykłem od chodzenia, że jestem już trochę zmęczony... i taki głodny.

— Oszczędzaj suchary, bo pamiętaj Iwonku, że na drodze nie znajdziemy nowych.

— E, mniejsza o to, masz za co kupić chleba, lepszego od sucharów.

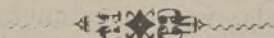
Pierwszy ciepły promień słoneczny rozgrzał dzieci i dodał im odwagi. Patrzyli dookoła przestraszeni trochę jasnością. W razie, gdyby ujrzeli wózek karczmarki, schowają się prędko, chociaż liście na krzakach nie były

jeszcze zupełnie rozwinięte, a czarny jej pies poznałby ich z pewnością i chciałby ugryźć, tak jak zawsze próbował, gdy ich tylko spotkał. Na szczęście nie było słyhać na drodze żadnego turkotu...

Dzieci przyspieszyły kroku, by prędzej dojść do jakiejś wioski, a szczególnie uciec jak najdalej od własnego domu. Szli już oddawna, gdy Melcia spostrzegła folwark, było jednak zawczasie by tam zająć i kupić chleba... Należało iść dalej... coraz dalej...

— Ach, tak mi się jeść chce — zawołał Iwonek... — i muszę troszkę odpocząć...

(d. c. n.)



SZARADA.

Pierwsze jest samogłoską, a spółgłoską *trzecie*.
Drugie, w każdym napoju napewno znajdziecie.
Wszystko, chociaż od zguby czasem nie ocala,
Niebezpieczeństwo jednak cofa, lub oddala.

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Ułożył Ułan z T.

. Zastąpić kropki literami, aby
. pierwszy rząd oraz pierwsze lite-
. ry złożyły nazwisko współczesnego
. fizyka i wynalazcy. 2) Miasto w In-
. flantach. 3) Bogini egipska. 4) Miasteczko
. n. rz. Dunajcem. 5) Ptak drapieżny. 6) Część
. wozu. 7) Spółgłoska.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA.

Ułożył Wacław F.

1. Spółgłoska.
2. Rzeka w Szwajcaryi.
3. Wyspa Jońska.
4. Drobnny, piękny ptaszek.
5.
6. Lud ze stepów Nadazowskich.
7. Miasto nad rzeką Saalą.
8. Góra w Azyi Mniejszej.
9. Samogłoska.

Środkowy rząd, oraz środkowe litery złożyć mają nazwisko generała i bohatera włoskiego bież. wieku.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 20-go.

Szarady: Sza — ra — da.

Łamigłówki w kwadracie:

N i k o p o l i
K a l a b r i a
P a p r o c i e
C o t o p a x i
K a r o l i n a
F r e j b e r g
R o b i n s o n
H o l s z t y n

Zadania konikowego:

Bezpiecznie myszy biegają,
Gdy kota w domu nie mają.

Skrzynka do listów.

List małej *Foki* nietylko za okaz starannego pisma, ale i za próbę poprawnego stylu służyć może, widzimy z niego, że ośmioletnia nasza korespondentka jest pilną dziewczynką, dowiadujemy się też z przyjemnością, że pod umiejętnym kierunkiem babuni czyni takie postępy w muzyce, że już sztuczki na cztery ręce grywać może.

Pieniądze na kolonie letnie przez *Sewera* i *Zosię* z dobrego serca ofiarowane, wdzięcznem sercem również przyjęte będą. Odychając świeżem powietrzem wspaniałych łąk i lasów, wspominając sobie z zadowoleniem będziecie, żeście w małej części przyczynili się do udzielenia biednym dzieciom podobnych przyjemności. Początek powieści prześlemy po odebraniu adresu.

Logogryf *Henryka H.* i *Edwarda B.* jakkolwiek dokładny, nie nadaje się do druku. Łamigłówki, które nadesłali: *Sokoły*, 7-letni *Kubuś E.*, *Reginka S.*, *Gołąbek*, drukowane będą, gdy się okażą odpowiednie i gdy kolej na nie nadejdzie. Nadmieniamy wszakże że imię, z którego się składa łamigłówka żelaznego *Gołąbka* w polskim języku zakończona jest na *es*, nie zaś na *eus*.

Szarady i łamigłówki z poprzednich numerów trafnie odgadli: *Leon S.*, czarny *Łabędź*, *Leonek S.*, *Gwiazda*, *Ryba morską*, *Gustaw J.* i *Regina S.*, która przejrawszy uważnie przeszłe numery Wieczorów przekonała się, iż była wymienioną w liczbie czytelników nadsyłających rozwiązania łamigłówek.

Chociaż radabym szczerze *Zosiu R.* dogodzić życzeniu twemu i wydrukować nadesłaną łamigłóvkę, jednakże zależy to nie ode mnie lecz od Redakcyi.

Zapomnienie swe naprawiłaś *Lilijko*, przesyłając niedołączony do próbki kaligrafii adres; staraj się jednak na przyszłość podobnych błędów unikać, gdyż brak akuracności naraża nieraz człowieka na przykrości i straty.

Rozwiązanie łamigłówki wykazało ci już *Marylko D.* jej odgadnienie.

Wdzięczną ci jestem *Pliszko* za wiernie przechowaną przyjaźń dla pobratymczej rodem *Jaskółki*, równie jak za sympatyę dla naszego pisma. Odwzajemniając życzliwe twoje uczucia, Redakcyja prześle ci żadaną książkę za zwróceniem 20 kop. za jej przesyłkę.

Z przyjemnością zauważyłam postęp w piśmie twojem kochany *Marszałku*, jeśli z innych nauk równą korzyść odnosisz, znać, że jesteś pilnym uczniem. Zawsze ci życzliwa

Jaskółka.